

## **Charles i Nathalie Henneberg**

### **Dolina Avalon**

Załącznik do akt w sprawie galaktycznych stosunków międzygatunkowych. Świadcstwo doktora Sartory Shane (z Obsługi Satelitarnej)

Ścisłe tajne

Trwała na powierzchni niektórych opustoszałych planet w Konstelacji Łabędzia. Przylepiała się do asteroidów, gdzie lądują statki pirackie. Była, o ile wierzyć analizom, czynnym związkiem, w skład którego wchodził tlen, azot (w formie białka), oczywiście wodór i kilka gazów nieznanymi na Ziemi. W stanie aktywnym miała postać popielatej chmury, usianej diamentowym pyłem.

Ta bezkształtna rzecz żyła. Zgodnie z własnym rytmem i w sferze właściwych sobie doznań psychicznych, miała piekielną intuicję, a także poczucie piękna.

Wyłoniwszy się z Konstelacji Łabędzia, posuwała się ku jej krańcom, a kiedy napotykała na jakiejś planecie życie organiczne, zajmowała się nim - na swój sposób. Była jednocześnie żywa i przeraźliwie materialna - tak bardzo, że można ją było utrzymywać na kliszach fotograficznych. Ponieważ jej wzór chemiczny był skomplikowany, nazywaliśmy ją po prostu Mgłą, a później Głosem. W końcu Les Olsen,

chłopak czytany, opowiedział mi o tych starych zapomnianych czarach: Dolinie Avallonu, w lesie Broceliande.

Pozwolę sobie teraz przejść do dowodów.

Byłem wówczas lekarzem oddelegowanym na Deltę 6, małego sztucznego satelitę w pobliżu Ziemi. Na jego powierzchni było tak mało miejsca, że mieszkałem na naszej planecie.

Pewnej nocy obudził mnie sygnał świetlny z Deltę 6, domagają się mego natychmiastowego przybycia. Wylądował na niej stale sterowany przez robota. Z niezwykle załogą na pokładzie: pięciu martwych mężczyzn. Natychmiast zapytałem:

- Była bijatyka?

- Właśnie, że nie - odparł flegmatycznie komendant satelity żadnego uszkodzenia dysz, ani awarii zbiornika.

- A wiec zatrucie koncentratami?

- Nie. Wyglądają bardzo spokojnie.

- Lece.

Służbowa rakietę błyskawicznie przeniosła mnie na Deltę 6. Nie zauważyłem nic Szczególnego: statek był małym pojazdem, typ handlowego, a ludzie - pięcioma wspaniałymi chłopakami. Leżeli wyciągnięci spokojnie w hamakach, ze skrzyżowanymi ramionami i nawet zatroszczyli się o to, by wygładzić prześcieradła, które posłużyły im za całuny. Doznałem wrażenia, że zostali pokonani przez pochodną azotu - nieomal gaz rozweselający. Wiedzieli, że zaraz umrą, byli nawet z tego zadowoleni. Żaden nie zostawił listu.

Ponieważ od jakiegoś momentu śluza powietrzna była szeroko otwarta, nie mogłem ustalić właściwości atmosfery, ale komendant portu zapewnił mnie, że kiedy wchodzili do statku, było tam dosyć tlenu.

- A nawet, jak się zdaje, nieco za dużo - orzekł jego zastępca, spozregawczy młody człowiek. - I para wodna, która ulotniła się z lekkim sykiem.

- To właściwie nie był syk - sprostował komendant - to było... słowa dają, tak jak czajnik na maszynie. Coś ciepłego, co przyjemnie mruczy.

- Komendancie, pan jest poetą.

- W każdym razie, para czy nie, rozproszyła się w powietrzu. Stosunkowo mały szkielet statku został wysłany do odkażenia. Zbadano dokumenty pokładowe: pojazd nazywał się Odwaga X198. Jego ostatnią przystanią był nieznaną asteroid na obrzeżu Konstelacji Łabędzia.

A zmarli?

To byli zwyczajni, zdrowi chłopcy, bez widocznych defektów. Ich śmierć była... niemal łagodna. I tyle o nich.

Uderzyła mnie jedna rzecz: wszyscy mieli otwarte oczy. I ich tęczołki były szare, o skrzącym się, metalicznym połysku. Sprawa została nawet ochrzczona "przypadkiem zmarłych o szarych oczach". Ale może mieli takie od urodzenia? Zostali uśpieni, odurzeni mieszaniną zawierającą azot - "cząsteczką osobliwej atmosfery, przywleczonej z Konstelacji Łabędzia", rozstrzygnęła Komisja Kontroli, która nigdy nie oceniała sprawy tak trafnie, pomijając to, że ciała gazowe mają przykrą właściwość rozszerzania się i że należało wziąć pod uwagę, że ta cząsteczka pozostała nieściśliwa. I to nie jest trucizna. Nie.

Podpisano protokół i wszyscy o tym zapomnieli.

Trzy dni później patrol przybyły na Deltę 6 zawiadomił noś, że w bazie wszyscy byli martwi - oprócz latarnika. I że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, znowu chodziło o gaz rozweselający.

Tym razem wprawiono w ruch olbrzymią maszynę rządową. Przeanalizowano - trochę zbyt późno - powietrze na Deltę 6, aż do najmniejszej cząsteczki. Przeprowadzono sekcję zwłok spokojnych nieboszczyków o szarych oczach, którzy zdawali się uśmiechać. Oczywiście energicznie przebadano latarnika. Nic nie wiedział; przygotowywał się do egzaminów na pilota i wszedł na wieżę, aby zaoszczędzić światła. A potem, siedząc na kręconych schodach, zasnął nad podręcznikiem algebry.

Na Deltę 6 nic nie znaleziono. Nawet żadnej zmiany w siatkówkach szczęśliwych trupów. Ta szara iryzacja była po prostu utrwalonym refleksem - organizm ludzki zadziałał jak fotokomórka. Gdybyśmy mogli choć trochę uwolnić się od z góry przyjętych założeń, powinniśmy zrozumieć, że w ten sposób utrwalili obraz swojego mordercy. Całe nieszczęście polegało na tym, że szukaliśmy określonego kształtu: wzrok jest najbardziej wymagający ze wszystkich zmysłów.

Bądź co bądź ten pogrom na satelicie należał do tych, które mogą wywołać niepokój na Ziemi; ludzie mają jednak tendencję do zajmowania się wyłącznie drobnymi sprawami osobistymi. Działano tak, aby nic nie znalazło się w telegazetach, z trudnością też uniknięto nagabywań ze strony władz federalnych. Informacje cedzono kropla po kropli. Rodziny otrzymały kondolencyjne zawiadomienie: "Zginął na posterunku w przestworzach" i renty.

Czy mam powiedzieć, że nie byłem zadowolony? Chodziło o coś innego. Osobiście, nie czułem się winny wobec tych zmarłych. W końcu zawód astronauty jest niebezpieczny. Ale są także spokojni, zwyczajni, przeciętni mieszkańcy Ziemi... Coś zbliżyło się i dwa razy zadało cios. Coś absolutnie niewidzialnego, nieuchwytnego i, jak można by sądzić na podstawie wyrazu twarzy ofiar, nawet dość przyjemnego...

Poleciałem na nowo zrobić analizy. Teraz już nie szukałem w zmarłych czegoś, co nie istniało przedtem, lecz przeciwnie tego, czego im brakowało. Idea mięsożernej istoty przywiezionej z głębi przestworzy nigdy nie była mi obca - dziwiłem się nawet, że aż do tej pory Ziemia uniknęła tego

niebezpieczeństwa. W dawnych książkach futurystycznych nie zawsze, jak się uważa, zawierających tylko wizjonerskie gładzenie, taki przypadek jest dosyć częsty; "zorle" żywią się "id", a Shambleau, bardziej poetycznie - "siłą witalną"...

Analiza chemiczna przyniosła rozczarowanie: zmarłym z Delt 6 nic nie brakowało. Przeciwnie, powiedziałbym nawet, że byli w szczytowym okresie dojrzałości, wieku męskiego. Czy można to zrozumieć? Nie. Trudno jest, w tym niepewnym świecie, wyobrazić sobie, że można umrzeć, ponieważ osiągnęło się pewien stopień doskonałości - intensywność ekstazy...

Nie mam za wiele czasu, by śledzić informacje w dziennikach, N czy słuchać audycji, a jednak byłem pewny, że Ona trafiła na Ziemię. Prawdopodobnie razem ze statkiem patrolowym lub handlowym. Mówiłem już, że miała piekielną intuicję; jakimś nieznanym zmysłem, w jednej chwili ogarnęła całe bogactwo kultury średniowiecznej i przystosowała się do niej.

Mgła bagienna, radioaktywna chmura na planetach węglowych na Ziemi ucywilizowała się. Któż nie słyszał o tych zmarłych, o których plotkarki mówią: "Biedny, wydawało się, że się uśmiecha". ... Proszę zwrócić uwagę, że nawet plotkarki nie są pewne - nie' całkowicie. W tym uśmiechu jest coś niezwykle, jakiś niepokój, gdzie zło i dobro mieszają się ze sobą. Nie chciałbym się nad tym zbytnio rozwodzić: w owym czasie miały miejsce trzy dość przerażające katastrofy, spowodowane cyklonami, wysoką falą lub aktami sabotażu. Cecha charakterystyczna: wszystkie ofiary uśmiechały się.

Dramatyczne wezwania na pomoc napływają zawsze nocą lub w tej sinobladej porze świtu, kiedy wydaje się, że wszelkie katastrofy są możliwe. Tym razem zostałem wezwany do Obsługi. Muszę powiedzieć, że w owym czasie przestałem do kogo należeć krótki referat na temat "molekularnego życia w przestworzach". Przyjął mnie ni mniej ni więcej tylko sam Wielki Szef. Spodziewałem się albo pochwał dla mojej rozprawy, albo - co było bardziej prawdopodobne - zarzutów siania paniki. Ale on tylko położył przede mną przerażające zestawienie:

Obóz młodzieżowy ZA 303 Zgony (samobójstwa lub przyczyny nieznane) - rok 2290

maj- czerwiec Dzieci-17 Dorośli-10

lipiec Dzieci-23 Dorośli-8

sierpień Dzieci-180 Dorośli-20(zgony przypuszczalne)

- Cóż to za koszmar? -zapytałem.

Wielki Szef spojrzał na mnie, przeciągając po brzydkim, guzowatym i genialnym czole swą bardzo piękną dłońią chirurga.

- Tak - powiedział - to jest koszmar. Chodzi o Europejski Rezerwat Wakacyjny - powierzchnia przeciętnego stanu, najpiękniejszy krajobraz i idealne powietrze. Okręg nazywa się Dolina Avallonu. W lesie, w którym rosną sosny, eukaliptusy i tamaryszki zorganizowano miasteczka wychowawcze zarządzane przez wysoko kwalifikowanych instruktorów i obsługiwane przez roboty. Mam tu akta dzieciaków i wychowawców: wszyscy zaliczają się do najlepszej warstwy ludności zrównoważonej, zdrowej i bez defektów.

- Pierwsze zgony wywołały zamieszanie: podejrzewano epidemię, powrót starożytnych klęsk, wirusa - chociaż wszystko to już praktycznie na Ziemi nie istnieje. Odkazono miasteczka i poddano obserwacji osoby, które stykały się z ofiarami. Co zresztą było całkowicie nieskuteczne, ponieważ nie wiadomo, o jaką chorobę mogłoby chodzić i jaki był czas inkubacji. A poza tym, czy chodziło tylko o chorobę? Powiadomiono mnie zbyt późno... Zmarli mieli wygląd... łagodny. Grupa dzieci spędzających noc w lesie, na zakończenie wycieczki tańczyła wokół skautowskiego ogniska. Zmęczeni zasnęli i już się nie obudzili. Inni, razem z instruktorami, pływali w niezbyt głębokiej zatoczce: świadkowie, którzy byli na cyplu, twierdzą, że słyszeli śmiech i śpiewy, którym towarzyszyła gra na

instrumencie. Oto zrobione przez nich zdjęcie: pomyślałby kto - rozradowane urwisy, po pas w wodzie, wyciągające ramiona ku słońcu... No i cóż, w minutę później utonęli, wszyscy...

- Wobec świadków?

- Tak. Ci rzucili się na pomoc, prawdopodobnie trochę za późno; myśleli, że to zabawa. Nikogo nie uratowano - to właśnie jest te 31 lipcowych zgonów.

Obejrzałem fotografię. Zauważyłem.

- Jest tu pewna nieprawidłowość.

- Prawda? Słońce i cienie skał wskazują porę południa. A przecież zatoczka jest osłonięta lekką mgłą. Ale uprzedzono mnie, że w tej okolicy jest to zjawisko normalne: poranne mgły zawieszono nad zatokami... W środowisku nauczycieli ciągle panuje silny niepokój. Obawiano się reakcji społeczeństwa, rozpacz rodziców; powstała kwestia rozwiązania obozu. Wie pan, co znaczą te wszystkie organizacje społeczne, główna oś, żywy ośrodek struktury naszego państwa... I to nie wszystko: żądano jeszcze wyjaśnień! Te dzieci które utonęły w 50-centymetrowej wodzie - i a dorośli, instruktorzy, wszyscy odpowiadający warunkom, wysportowani - co pociągnęło ich ku śmierci? Zbiorowy wylew? Porażenie słonecznej Ale woda była ogrzana sztucznym prądem płynącym wzdłuż brzegów, a słońce łagodne. Dziennikarze mówili między sobą - ponieważ udaremniono przecieki informacji o szlamie i o jakimś, pojawiającym się okresowo, wężu morskim... I właśnie w tej chwili wpadł mi w ręce... (przepraszający gest) pański referat, niesłusznie odrzucony przez sekretariat. Myślałem że może chciałby pan wyrazić własną opinie.

- Owszem - powiedziałem otwarcie. - Ale najpierw chciałbym wiedzieć, dlaczego pisze pan w tym zestawieniu o samobójstwach?

Odpowiedział mi tak samo, jak zmarły komendant Delty 6: - Widziałem ciała topielców. Byli tacy... tacy spokojni!

- I cóż z tego? Są takie gazy i środki usypiające, które przynoszą spokojną śmierć.

- Jedna z dziewczynek napisała na piasku: O śmierci, słodka śmierci... Dziesięcioletnia dziewczynka... Oczywiście, przypuszczenie jest potworne i nie będziemy tego mówić rodzicom: ale można by powiedzieć, że oni byli zadowoleni że umierają?!

- A grupa sierpniowa? Dlaczego: zgony przypuszczalne? W tym momencie zachmurzył się zupełnie.

- Dlatego - powiedział - że wiemy, że nie żyją, ale nie mogliśmy ich odnaleźć. Niech pan spojrzysz na mapę: oto wybrzeże i Szczęśliwa Dolina. Te zabudowania to miasteczko Cicades, prawdziwa osada przyznana dzieciom w wieku od 6 do 15 lat. Przez pięć miesięcy wakacji mieszkają tu razem z instruktorami, bawią się, uprawiają sporty, pielęgnują ogrody i sady. Zapewniam pana, że kolonia jest wspaniała!

- 20 instruktorów na 180 wychowanków - czy to trochę nie za mało?

- Nie, jeśli się weźmie pod uwagę, że jest to wykwalifikowany personel składający się z higienistek dla dziewczynek, lekarzy; pedagogów i pielęgniarzy. Wszyscy są... byli, powinienem powiedzieć, niestety!... młodzi i energiczni i pomagała im starsza młodzież. Poza tym do prac fizycznych mieli roboty, prawda? W każdym razie wczoraj, w Święto Sądów, cały rezerwat miał się zgromadzić w centrum Gentianes, aby zaprezentować swoje plony; to są prawdziwe zjazdy rolnicze - miały być przyznawane medale: dzieciom bardzo na tym zależy. Otóż Cicades nie przysłało żadnej delegacji. Próbowano skontaktować się z nimi przez video: bez powodzenia. Ich stacje nadawcze również milczały. Wówczas rozwiązały się języki, opowiadano, że w ciągu ostatnich miesięcy wiele dzieci opuściło zawody sportowe, a te, które przyszły, miały "dziwny wygląd i ciągle się śmiały".

Przełożona instruktorów Gentianes (dzieci od 14 do 18 lat) utworzyła grupę poszukiwawczą i udała się w kierunku Cicades. Bogu niech będą dzięki: to kobieta inteligentna, i nie udało się jej.

- Dlaczego?

- Niech pan spojrzysz na to zdjęcie. Zostało zrobione przez dziecko z grupy poszukiwawczej.

To była Szczęśliwa Dolina - i był to inny świat. Przed chwilą widziałem ją na mapie i na innych zdjęciach; tu było tylko mgliste podobieństwo w ukształtowaniu krajobrazu. Patrzyłem na obraz nie mogąc oderwać odeń oczu: góry były wyższe, bardziej spiczaste, podobne od księżycowych szczytów, wąwozy głębsze i bardziej tajemnicze. Staw ukryty wśród mchów rozlewał się w opalowe jezioro,



rozświetlając pejzaż halucynacyjnym pięknem. Ale skąd się wzięły te migotliwe skały o płynnych konturach, te przedziwne sylwety z kryształu, które mogły być drzewami i te metaliczne liany, które najprawdopodobniej były pytonami? Puszysty wodospad zawieszony pod niebem fosforyzował przez bladą sieć gigantycznych nenufarów. Linia wzgórz była muzyką. Skrząca się diamentowym pyłem, spowijająca wszystko mgła - zapachem. A więc to było to, co widzieli w chwili śmierci, to było tym ostatecznym schronieniem, ziemią idealną - krainą, skąd się nie wraca nigdy... Aby wyrwać się złowrogemu czarowi, musiałem zakryć dłonią urzekający krajobraz.

- Ale to nie wszystko - nieco ochryple powiedział Wielki SzeF. ( On takie musiał oglądać te fotografie - i to długo). Nie może pan zobaczyć przełożonej, umieszczono ją pod nadzorem: przyprowadziła swoją grupę, ale rozczochrana i z podbitymi oczami - ponieważ musiała się z nimi bić. Teraz trochę majaczy. Mówi, że w połowie drogi do Doliny zaczyna się słyszeć Głos. Świadcowie z zatoczki mówili o brzęczeniu albo o wibracjach akustycznych; w każdym razie chodziło o ostry dźwięk, powstający równoległe ze zmianami wizualnymi i misternie atakujący system nerwowy.

- I ten głos mówił, nie pozwalając odróżnić słów, lecz dosięgając jednocześnie wszystkich włókien nerwowych, całej istoty człowieka; szeptał i obiecywał niewysłowione, niewyraźne rozkosze, raj dzieciństwa, niewinności i czystości. Dzieci chciały się weń pogrążyć... i wtedy biedna instruktorka wpadła na szczęśliwy pomysł; rozkazała chłopcom zatkać uszy, tak jak to zrobili żeglarze Odyseusza, dziewczynkom zamknąć oczy, ustawiła ich w szeregu i biegiem poprowadziła swą głuchą i ślepią trzódkę do owczarni, czyli do Gentianes. Przypuszczam - dorzucił ociążałe - że te dzieci widziały i słyszały jedynie to, co mogły zobaczyć i usłyszeć, coś jakby nierealni ideał, i że kontakt z nimi był ograniczony. Ale boje się, że nigdy tego nie zapomną...

- A inni?

Gestem przechodzącym w tik odrzucił biały kosmyk, który widziałem u niego po raz pierwszy.

- No właśnie, inni. Nic o nich nie wiemy. Próbowano tam zejść jeszcze trzech instruktorów, każdy oddzielnie... żaden nie wrócił. Rozkazałem otoczyć Dolinę. To było 36 godzin temu.

- Mgła ciągle tam jest?

- To co my nazywamy mgłą? Tak.

Teraz już wiedziałem o tym zjawisku dosyć, aby działać. Wyłuszczyłem Wielkiemu Szefowi swój plan, bardzo prosty. Być może, w jakimś stopniu, mieliśmy szansę, że Śmierć, nasycona, pijana ogromną młodą radością, tyłoma niewinnymi istnieniami - wreszcie osiadzie w wąwozie.

Mieliśmy szansę - jakże nikłą! - że ją zaskoczmy i pokonamy. Jaką bronią? Wówczas spostrzegłem, że Szef był bardziej poruszony niż mogłem sądzić: uparczywie wpatrywał się w swoje długie dłonie, brunatne, posłuszne, które przez tyle lat walczyły ze śmiercią i które teraz, po raz pierwszy, okazywały się bezużyteczne. Zrozumiałem, że dla chirurga i kardiologa Thierry Verde była to niewybaczalna porażka. Zrozumiałem to jeszcze lepiej, kiedy odmówił dowodzenia wyprawą.

- Pan jest lepiej zorientowany w tych sprawach niż ja, Sartory Shane - powiedział. - Jest pan młodszy. Odporność psychiczna ma swoje granice. Ja... - Na jego twarzy zarysował się żalostny uśmiech - w Cicades była moja córka, Lone. Ma... miała 15 lat.

No i proszę. Zostałem sam wobec zadania, które przekraczało ludzkie siły. Powierzył mi swoje laboratoria i współpracowników. Całą noc video przekazywały nam informacje, które mózgi elektronowe układały w serie. Wszyscy potwierdzali hipnotyczne właściwości krajobrazu i pozaziemskie pochodzenie zjawiska. Tylko że ja już to wiedziałem! O świcie, kiedy siedząc przed Androidem XXX99 i otoczeni stosem kart perforowanych piliśmy bardzo mocną kawę, Les Olsen, bakteriolog i mediwista, po raz setny oglądając zdjęcia; wyraził znaczącą opinię:

- To przypomina Dolinę Avallonu - powiedział. - Pamiętasz: Muzeum Starego Świata. XIII wiek Czwartorzędu, rycerstwo i tak dalej.

- Dolina...?

- Nie śmieję się, grosze cię. Średniowiecze było okresem wyrafinowanym i okrutnym, w którym ludzkość, zbyt słaba i zbyt wrażliwa, doświadczyła wszelkich możliwych ataków. Broniła się - jak mężczyzna! Daj mi jeszcze kawy... Był sobie las Broceliande - dokładniej, las sosnowy. Wchodzisz tam, widzisz fontannę ze szmaragdowymi schodami; na złotym łańcuchu wisi kubek. Pijesz z niego lub spryskujesz wodą kamienne płyty - i oto wybuch burza, podnosi się mgła, spoza mlecznych chmur wyłania się boski krajobraz; Dolina Avallonu. Ktokolwiek tam wchodzi, pada ofiarą magicznej siły i nigdy nie wraca. W ten sposób zniknęły setki istnień... Ale ta dolina nigdy nie istniała, dobrze o tym wiemy...:

- Bardzo to poetyczne - powiedziałem. - Ale nie rozumiem...

- Był również ogród Klinasoru - trochę nieprzytomnie ciągnął Olsen - i miasto-państwo Ys, i niewidzialne miasto Kituje. Ale tu legenda się komplikuje, niewidzialni mieszkańcy zaginionych miast być może żyją, słychać dzwony bijące w nieustannej harmonii, pod powierzchnią Jeziora w Antiochil można zobaczyć białe pałace Antygonii... Nie, wróćmy do naszych magicznych miejsc i do sposobu ich zniszczenia..:

- Rozumiem - powiedziałem, chwytając wreszcie jego myśl.

- U Ariosta Orland Szalony przewraca rząd kadzielnic przy zaczarowanym wejściu - opary rozwiewają się i czar znika. Gdzie indziej mowa o olśniewającym, Iskrzącym Graalu, który rozprasza ciemności. W istocie, Graalowi przypisywano pochodzenie termojądrowe, kojarząc z tym promieniowanie gamma...

- To nie ma nic wspólnego z naszym przypadkiem - przerwałem Głos nawiedzał asteroidy nasycone uranem.

- Czy przyznasz wreszcie, że jest tu myśl praktyczna? Nie możemy walczyć z mgłą z celownikiem w rękę! - Nie - powiedziałem, nagle coś sobie przypominając. - Olsem myślę, że... Słuchaj: Na Delcie 6 jedynym człowiekiem, który pozostał przy życiu - i który zresztą spał - był latarnik, spędzający noc pod samym reflektorem. Popatrzyliśmy na siebie i Olsen powiedział:

- Przypuśćmy, że Graal był tylko elektronem...

Teraz należało to sprawdzić. Przy życiu pozostała jedna osoba, która widziała z bliska Wroga: przewieziono mnie śmigłowcem do wejścia do Rezerwatu, i tam spytałem o Annę Wynne, przełożoną instruktorów. Usłyszałem, że odpoczywa, a poza tym jest pomyłona. Aby ujarzmić niezbyt miłą przełożoną pielęgniarek, musiałem użyć całego swego lekarskiego autorytetu. W końcu wprowadzono mnie do pomieszczenia w pastelowych kolorach, które musiało służyć jako pokój dziecinny. Zobaczyłem ciemnowłosą kobietę, ani brzydką, ani ładną, skrępowaną kaftanem bezpieczeństwa i biegającą od ściany do ściany. Zwróciła ku mnie nieprzytomną twarz.

- Miss Wynne - powiedziałem najłagodniej jak tylko umiałem jest pani jedyną w tej chwili istotą na Ziemi, która stanęła twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, zagrażającym nam wszystkim, Myślę, że mogłaby pani oddać wielką przysługę ludzkości, ułatwiając nam zidentyfikowanie nieprzyjaciela...

Mogłem spodziewać się wszystkiego - z wyjątkiem tej odpowiedzi, podanej łagodnym głosem.

- Jakiego nieprzyjaciela? O czym pan mówi, doktorze?

Niechętnie zagłębiłem się w wyjaśnienia naukowe, ale przerwała mi zniecka:

- Pan mi mówi, że wszyscy ci ludzie nie żyją. Być może. Śmierć czekałaby ich i tak, i prawdopodobnie byłaby to śmierć odrażająca lub straszna: ze starości, z choroby gwiazdnej albo w konflikcie światowym, z przeżartymi kośćmi i wyniszczonym ciałem, w okropnych męczarniach. Tutaj, zgaśli w apogeum doskonałości fizycznej, po prostu - czy pan mnie rozumie? - dlatego, że ich uniesienie było zbyt intensywne, ich rozkosz zbyt przejmująca... dlatego, że w jakiejś chwili stanowili jedność z Dawcą. Oddali mu to, co w nich wzbudził, to co wzniosł na najwyższe szczyty: Radość. Tak, oni umarli z radości. Któż by nie pragnął podobnej śmierci?

To było więcej niż mógłbym żądać - to potwierdzało moje najstraszniejsze podejrzenia. A jednak wciąż nie znałem oblicza potwora, który aby się wyżywić, doprowadza do tej przerażającej symbiozy. Ale Miss Wynne wybuchła:

- I pan chce, żebym go zdradziła? Dlatego, że jestem człowiekiem? Ależ to pan jest szalony! Poza tym niewygodnym ciałem i tą wrażliwością, która nie służy nikomu, chciałabym wiedzieć, co ja mam z człowieczeństwa - ciężkiego, tępego, ograniczonego! Niech pan mnie posłucha, doktorze Shane, ludzie mi nic nie dali! Nic! Całe życie zajmowałam się innymi - ich słabościami, ich niewiedzą, ich kompleksami: powierzono mi małą larwę, zawiązek, zabijałam się, żeby ją okrzesać, i kiedy te dzieci stawały się w końcu inteligentnymi i zachwycającymi istotami ludzkimi, to wszystkie odchodziły! A ja

zostawałam z pustymi rękami: byłam starym belfrem, nudną Miss Wynne! Uniósła ręce ku rozpalonej twarzy i dorzuciła jednym tchem (chyba nigdy nie odważyła się na takie wyznanie)

- Jedyłą w moim życiu chwilę zupełnego szczęścia przeżyłam tam na tej wąskiej ścieżce nad przepaścią, twarzą w twarz ze snem, który stał się rzeczywistością! To jemu zawdzięczam moją jedyną ekstazę, on jest moją jedyną nadzieją, jest wszystkim! Ci ludzie którzy mnie trzymają w zamknięciu, związaną, twierdzą, że oszalałam! A ja przeciwnie, widzę i czuję niezwykle jasno, Sartory Shane! Oddając im tych głupich malców, ponieważ to był mój obowiązek, oświadczyłam, że jedyne, czego chcę, to wrócić do Doliny!

- Pani by już w tej chwili nie żyła - powiedziałem dość ostro.

- Tak. I co z tego? Czym jest to ponure i szare życie wobec jednej chwili naprawdę pięknej? Wy nie wiecie, wy biedne ślimaczki, taplające się w tym waszym błocie - dorzuciła i jej nieprzyjemna twarz rozświetliła się - czym jest to uniesienie, ta wielka radość, która ogarnia, odrywa od pospolitości i przypadkowości naszej psychiki. Tam jest on! Jego fale cię przenikają, i jesteś już tylko jednością z nim i z kosmosem... Oto prawdziwe zespolenie!

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, Anno Wynne! Pani mówi o tej potworności... jak o kochanku!- Chciałem ją zgorzyć, wyrwać brutalnie z urojeń. Skutek był wprost przeciwny: na jej bezkrwiste wargi wypłynął uśmiech błogostawionej zmarłej.

- Tak - rzekła.-To mój kochanek. Która kobieta nie kocha swojego boga?

- A teraz znów bóg, ta bezkształtna rzecz!

- Och! - rzuciła, wzruszając ramionami - on może przyjąć taką formę, jaka mu się spodoba! Z początku, jak obłoki, przybierał jedynie kształty krajobrazów, miast... ale teraz już nie. Może się stać złotym deszczem, łabędziem lub chmurą, albo pięknym jasnowłosym rycerzem, jak Tristan i Persiwal... Działajcie szybko, Ziemianie, on wam się wymyka!

Wobec tego pojąłem, że muszę się spieszyć.

Pracowaliśmy jak potępieńcy. Les i ja w skafandrach, jak na planecie bez powietrza, z robotami do pomocy. Skrzące się różowymi brylantami morze łagodnie falowało i kiedy rzuciłem tam spojrzenie - jedno jedyne - wydało mi się, że widzę rzeczy cudowne i nieokreślone, wiszące ogrody pełne perłowych azalii, baśniowe pałace i błyszczące mosty. Po przęsłach snuły się mgliste procesje i odwróciłem się, żeby nie widzieć czarodziejskich twarzy. Obaj zasłoniliśmy słuchawki, aby uniknąć przynajmniej muzyki. Z polecenia Szefa dostaliśmy gigantyczne urządzenia do oczyszczania powietrza - wentylatory mogące wywołać burzę i reflektory bateryjne silne jak latarnia Delt. Les chciał użyć też dezintegratorowi, ale nie zgodziłem się: w Dolinie mogło pozostać jeszcze (nikła nadzieja) jakieś żyjące dziecko. Dziewczynka, która nazywa się Lone Verde - lub inna. Bywały przecież cuda, prawda...?

Jak opisać te ostatnie chwile? Odizolowani przez bariery magnetyczne, znajdowaliśmy się na skalnej półce, gdzie ustawiliśmy cały nasz sprzęt bojowy. Wiedząc, że w naszych rękach spoczywały niezliczone istnienia ludzkie, i być może nawet los Ziemi (bo czymże są wszelkie trucizny - opium, heroina, morfina - wobec sztucznego raj. Doliny Avallonu?! byliśmy spięci i trochę rozgorączkowni. Les jest nieco starszy ode mnie (mam 28 lat), ale to ja, za wspólną zgodą, kierowałem akcją. Chcąc, aby nasze pierwsze natarcie było jak najskuteczniejsze, wybraliśmy najciemniejszą porę nocy. Mimo to jednak z trudem mogłem doczekać się mroku. Czy było to złudzenie optyczne? Zdawało mi się, że widzę wznoszący się biały maszyn przyływu. Biały? Nie, był teraz cudownie popielaty, lazurowy, opalizujący i rozpylający tysiące kolorów, oddychający jak coś niespokojnego i żywego.

Nie pełzał już po dnie wąwozu: jego fale zrównały się ze zboczem: wyrzucał macki ku szczytom, ku wierzchołkom sosen. W jednej chwili, ogarnięte zdradliwą pieszczotą, granit albo szorstka kora pokrywały się szronem, na każdej szpilce, na każdym źdźble zapalał się diament, i to było upojenie dla oczu. Polanka gdzie rosła szałwia była teraz lasem purpurowych stalaktytów. Droga nad urwiskiem zamieniła się w schody z opalu. Łąpałem się na dziwnych myślach: Ziemia byłaby o wiele piękniejsza, gdyby, w miejsce drapaczy chmur, wszędzie wznosiły się kryształowe wieże, gdyby pośród tłumu pojawiły się istoty o zachwycających twarzach, nazywające się, jak niegdyś, Izolda, Wiwiana, Morgan... Zdając sobie sprawę ze swej słabości, machinalnie położyłem rękę na pierwszym reflektorze.

- Zostaw to - usłyszałem łagodny głos Olsena.

Odwrociłem się, spostrzegając natychmiast, że niezauważalnie zbliżyłem się do brzegu urwiska. Czar osłabł, poczułem zimny pot na skroniach: a więc to jest właśnie to, myślałem, co czuje mucha przyciągana ku pajęczynie! Niewiele brakowało a rzuciłbym się w tę migotliwą otchłań! Ale Olsen... mój Boże, Olsen! Aby mu było wygodniej pracować, rozluźnił paski skafandra - był we władzy Głosu! Skutek był natychmiastowy i przerażający: skierował ku mnie swój celownik.

- Zostaw to - powtórzył, w dalszym ciągu przez głośnik. - Nie rozumiałem, że nie warto walczyć... to jest dla nas najpiękniejszy los... dla całej Ziemi. Znów stać się czystym jak dzieci... Wierzyć w baśnie... być częścią tego piękna... Więc ty nie rozumiesz, że się nie umiera? Człowiek staje się nutą tej pieśni, albo kolorem. I to tworzy nieśmiertelną symfonię...

- Les - mówiłem pełen rozpaczy, wiedząc, że liczy się każda sekunda i każde słowo - byłeś dumny ze swej pracy - a to nie jest praca dla byle kogo. I masz matkę, która kocha ciebie, a nie symfonię czy gamę chromatyczną. Pomyśl o tym! Tak samo jest z innymi. Jesteśmy tu po to, żeby walczyć.

Nie odpowiadał. Przez wizjer skafandra widziałem jego nieruchome spojrzenie, które stawało się popielate. Czarny otwór celownika podniósł się na wysokość mojej twarzy. Jedyne co mogłem zrobić, to wydać krzyk - fałszywy ton, aby zakłócić fale dźwiękowe, i cen krzyk szczęśliwie na sekundę przerwał śmiertelną Pieśń. Zanim Les się zanurzył, tym razem świadomie, w otchłań rozkoszy, rzuciłem się na ziemię i uruchomiłem dźwignię.

To był huragan i olśnienie. W Szczęśliwą Dolinę spadły cudownie zsynchronizowane wiązki światła i trąby powietrzne, rozerwały ogromny pęcznik mgły, rozszarpały, spaliły. Z niemal chorobliwą satysfakcją patrzyłem, jak wielkie srebrne gwiazdy energii elektrycznej zapalały całe płaty tej żyjącej masy, która zwijała się, czerniała, krzyczała...

Pośród świstu sztucznego huraganu, mocno uczepony dźwigni mogłem rzucić w tył tylko jedno spojrzenie: Olsen upadł, zemdlony czy martwy? Jego broń potoczyła się pod kamienie. Kiedy tylko, na jedną sekundę, burza przycichła, zająłem się przede wszystkim penetrowaniem reflektorem jaskiń. Spostrzegłem, że wywołane przez nas zakłócenia atmosferyczne rozpętały prawdziwą nawałnicę: czarne niebo rozdzierały oślepiające zygzaki, od zboczy odskakiwały fioletowe kule piorunów. Zgubiłem hełm skafandra i nie mogąc się osłonić, słyszałem najcichszy jęk Potwora wydanego na bombardowanie elektronów. Potem spadł deszcz, również przesycony elektrycznością, chrzęszcząc w gałęziach, odgradzając wąwóz gęstą zasłoną. Ten potop porwał strzępy przyczepiony do zarośli i, jak się spodziewałem, ostatecznie odkaził Ziemię. Mogłem wreszcie zostawić sprzęt i po śliskiej skale

przyczołgać się do Olsena. Stracił przytomność, ale oddychał. Zatomowałem krew i opatrzyłem ranę na karku, potem wyciągnąłem podręczną apteczkę i zrobiłem mu kilka zastrzyków. Przyszedł do siebie i słabo ścisnął mnie za rękę.

- Posłuchaj, Les - powiedziałem. - Mam wrażenie, że walka się skończyła i nieprzyjaciel już nie istnieje. Zostawiam cię tutaj, na tej skale i zawiadomię przez głośnik najbliższą wioskę; mam nadzieję, że zaraz po ciebie przyjdą.

- A ty? - wyszeptał.

- Ja muszę zejść na dół.

- Sart!

- Stary, tam mogą być jeszcze jakieś żywe dzieciaki, chociaż w to wątpię. Ty przecież przeżyłeś, co? A ja jestem lekarzem.

Nie rozmawialiśmy już więcej; przywiązałem się do liny i zszedłem ze szczytu, prosto w Szczęśliwą Dolinę. Wszystko tu obumarło, ruina była kompletna. Do tej pory widzieliśmy jedynie trupy niedawno zmarłych. Teraz znajdowałem tylko metaliczne szkielety, jakieś dziwne przedmioty podobne do koralu i owady, rozsypujące się w proch przy pierwszym dotknięciu. Ale w grocie nad wioską, położoną w połowie zbocza, na tyle wysoko, że przynajmniej przez kilka dni mgła do niej nie docierała miałem szansę znalezienia jakiejś żywej istoty. Ciągłe lało, chociaż na powierzchni stawu, wśród lśnień straszliwych metalowych szkieletów, kule błyskawic pojawiały się coraz rzadziej. Szedłem otoczony nierealnym krajobrazem, brodząc w wodzie i po kolana grzęznąc w błocie, każdy krok przypłacając obłądnym wysiłkiem. Przez jedną chwilę zawahałem się: czy naprawdę muszę wspinać się do tej groty? Była zbyt wysoko, aby jakieś dziecko mogło do niej dotrzeć. W końcu jednak wszedłem na górę i kolistym ruchem zacząłem wodzić po czarnych ścianach światłem elektrycznej latarki. Coś poruszyło się w głębi, usłyszałem słaby krzyk - krzyk człowieka (co za rozkosz usłyszeć coś, co pochodzi z prawdziwych strun głosowych!!...

- Zgaście to światło! Och! Oczu mnie bolą! - krzyknął cień. Posuwałem się po omacku, z wyciągniętymi rękami i wkrótce moje palce dotknęły mokrych włosów, odchylonej i słabo fosforyzującej twarzy młodzianki dziewczyny: musiała tu leżeć, skulona w ciemnościach, całe dnie, była na wpół oszalała z przerażenia i bardzo słaba, ale kiedy niosłem ją ku progowi groty, spostrzegłem jej delikatne rysy i piękne dłonie, które znałem.



- Jestem... jestem Lone Verde- powiedziała drżącym głosem, jakby z trudem znajdując słowa ich brzmienie było samą muzyką!, Byłam w lesie, na górze, kiedy...: to się zaczęło. Zdążyłam tylko uciec do jaskini. Bałam się wyjść, miałam tu trochę wody i roślin... Czy to się skończyło? Gdzie są inni?

Wyszliśmy z groty. Potoki deszczu ciągle z hukiem waliły w Dolinę i tona schroniła się pod mój plastikowy płaszcz. Nie miałem serca powiedzieć jej, że wszyscy jej koledzy i koleżanki nie żyją. Miała piętnaście lat, ze wzruszającą ufnością objęła mnie szczupłymi nagimi ramionami za szyję i drżała pod lekką, moką sukienką. Miała zachwycającą srebrzystą twarz, usta gwałtowne i czułe i oczy... Bardzo długie rzęsy uniosły się nad srebrzystą, popielatą szarością - żyjącą, roztańczoną. Szarością, która w gwiazdnej pustce odbłyскиwała tysiącem zgasłych słońc - spiralami umarłych mgławic... Ponieważ Mgła żywiła się także światłem i ciepłem. Ale oczywiście wolą życie organiczne. I mogła przybierać wszelkie formy.

- Pocałuj mnie, Sart - powiedziała lane.

Niech Bóg ma mnie w swojej opiece: Ja jej nie zabijem.

przekład : Zofia Beszczyńska